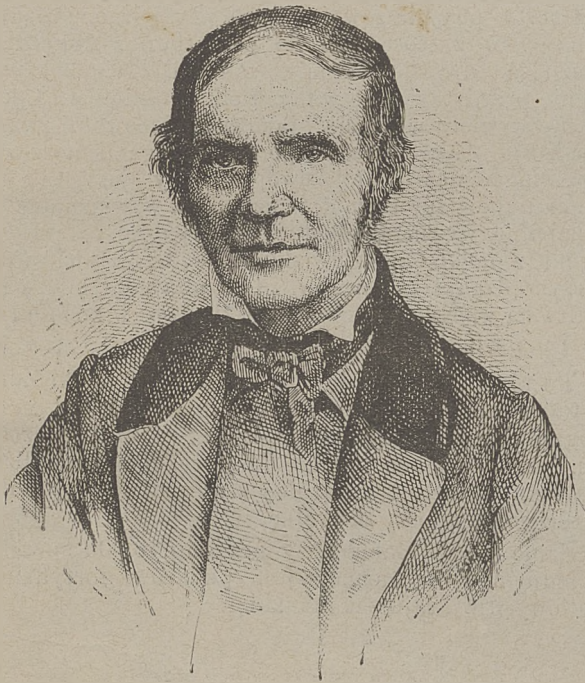




WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



W stuletnią rocznicę urodzin Jachowicza.

Sto lat upływa dnia 1. kwietnia od chwili narodzenia się Stanisława Jachowicza. Któż z nas nie wie, kto był Jachowicz? Znamy wszyscy jego bajeczki, których pokolenie po pokoleniu uczy się na pamięć, bo tak trafiają do przekonania małych czytelników, że same wbijają się w głowę, jak historia owego Stasia, co to splamił sukienkę, a któremu matka tak mądrą dała naukę, że na sukience plamę wyprać łatwo ale brzydkiego czynu z życia nikt nie zmyje, jak historia o swawolnym Tadeuszu co to nałapał much i zamknął je we flasce, a którego przykładem nauczył ojciec, że nie trzeba drugim czynić tego, co nam nie miłe, jak wreszcie owa mała Adelcia, której historia tak dotykalnie poucza, że napierać się nie należy.

A wszystkie te bajeczki przystosowane do różnych okoliczności, do różnego wieku są jednak równie jasne, proste,

zrozumiałe dla każdego, przedstawiają wypadki codziennego życia, które przytrafić się mogą w każdym domu bez owych wyjątkowych okoliczności, nie mających nic wspólnego z powszednim życiem! Nie posiłkują się też one światem zwierzęcym, bo chociaż rozumiemy dobrze iż lisy, koty, myszki, czyżyki i t. p. stanowią tylko przenośnie, że lis przedstawia charakter chytry, wilk drapieżny, a myszki i ptaszki najczęściej naiwne ich ofiary, jednakże wolimy te same właściwości widzieć w ludziach i czytać o przygodach naszych rówieśników niżeli o przygodach zwierzęcych.

Dlatego to bajki Jachowicza proste i naturalne, płynące z serca przemawiają do czytelników, czuć w nich miłość jaką ich twórca miał dla młodego wieku, którego potrzeby tak doskonale rozumiał. Z tego też powodu był on nauczycielem jakich mało, bo nikt lko potrafił zniżyć się do każdego pojęcia ale umiał wzbudzić miłość do przedmiotu, który wykladał.

Tajemnica jego powodzenia nauczycielskiego była jednak bardzo prosta, chociaż nie każdy naśladować go potrafi: oto płynęło ono z serca. Kochał gorąco uczniów i uczennice, które za własne dzieci uważał, a kochając je rozumnie, badał ich charakter, usposobienie, zdolności i przywary, poznawszy zaś, dokładał wszelkich starań, ażeby pierwsze rozwijać, drugie wykorzeniać. I nie było mu to trudno, bo miłość nauczyciela budzi miłość w uczniach, bo kiedy kogo kochamy staramy się iść za jego kierunkiem i sprawiać mu przyjemność, w czem tylko możemy. Naturalnie uczyć się trzeba bez względu na nauczyciela, bo nauka jest rzeczą konieczną, ale o ileż szczęśliwsze są od innych te dzieci, które nauczyciela swego kochają i czują nad sobą jego miłość. Jak zaś był kochanym ten człowiek, który całe życie poświęcał nauczaniu, dowodzi najlepiej pamięć jaką po sobie zostawił. Co rok bowiem w smutną rocznicę jego śmierci, chociaż już czterdzieści lat z górą od niej upłynęło, garstka pozostałych uczennic zbiera się na żałobne nabożeństwo, przypominając sobie nieodżałowanego mistrza.

Poświęcał się on nie samemu tylko nauczaniu, ono samo nie wystarczało jeszcze gorącemu jego sercu. Poza szczęśliwymi dziećmi otoczonymi troskliwą opieką rodziców, zwracał uwagę na ubogie sieroty, o które nikt nie dba i nie-

tylko wiele z nich wychowywał własnym kosztem, dzieląc się z nim ciężko zapracowanym chlebem, ale dzięki licznym stosunkom jakie posiadał, dzięki czci jaką był otoczony, zebrał znaczny fundusz na powiększenie domu sierot Towarzystwa Dobroczyńności i ten powiększony zakład, będący jego fundacją nosi dotąd jego imię.

Tym sposobem zbudował dla siebie najtrwalszy pomnik z zasługi, wdzięczności ludzkiej i modłów, jakie za niego wznoszą sieroty, wychowywane dzięki jego staraniom.

Był on prawdziwym przykładem chrześcijańskiego miłosierdzia, poprzestawał na małym, nic nie pragnął dla siebie, nigdy nie ustawał w pracy, a wszystko co mógł oddawał potrzebującym. Cichy, skromny, pogodny, zadowolony ze swego losu, zadowolony z zawodu, który był rzeczywiście jego powołaniem, należał do ludzi nie mających historii, bo życie jego biegło zwykłą koleją wśród pracy, szacunku i miłości ludzkiej, nie wolne zapewne od codziennej troski ale osłodzone szczęściem domowym. Urodził się w roku 1796 w Dzikowie miasteczku galicyjskim obwodu rzeszowskiego. Nauki kończył we Lwowie, a do Warszawy przyjechał w r. 1818 i poświęcił się zawodowi nauczyciela prywatnego. Ożenił się w średnim wieku i miał jednego syna Eryka, pod którego imieniem wydał jeden ze swoich zbiorów pod tytułem: „Pamiętka dla Eryczka”. Pisał głównie dla dzieci, i miał w tem niemałą załugę bo był to czas kiedy u nas mało jeszcze dbano o literaturę dziecięcą. Pierwsze bajki i powiastki Jachowicza, wyszły w tym samym roku 1826, w którym panna Klementyna Tańska, późniejsza Hoffinanowa, zaczęła wydawać pierwsze u nas czasopismo dla dzieci „Rozrywki”. Oboje, Tańska i Jachowicz odczuwali potrzeby młodego wieku i każde w swoim zakresie, czyniło im zadość. Od tego czasu Jachowicz wydawał ciągle nowe zbiory: „Pamiętka dla dobrych dzieci”, „Nauka w zabawie”, „Dzienniczek dla dzieci”, „Pamiętka dla Eryczka” a wreszcie „Sto powiastek” wydanych w ostatnich latach przed śmiercią.

Wszystkie te pisma mają jeden charakter, wszystkie też były przyjęte przez czytelników dla których były przeznaczone, z serdeczną radością. Nie dziw więc, że Jachowicza cenili i kochali kraj cały, a kiedy złożony chorobą, nie mógł już pracować, wszyscy literaci ówczesni złożyli mu jako hołd książką zbiorową „Wieniec”.

Było to pierwsze wydawnictwo tego rodzaju. Potem kilkakrotnie wydawano książki zbiorowe dla różnych osób zasłużonych, żadne jednak z „Wieńcem” równać się nie może.

Prostota i naturalność, konieczne w autorze piszącym dla dzieci, były to cechy właściwe Jachowiczowi, nie odstępował od nich w życiu i nie odstępował nigdy w pismach nawet wówczas, gdy zwracał się do czytelników dojrzałych. Jego praca: „Pomysły do poznania zasad języka polskiego”, która ukazała się już po śmierci autora, zaleca się właśnie temi przymiotami i stanowi szacowne dzieło z powodu swej jasności.

Jachowicz umarł w r. 1857 w Warszawie. Pozostawił żonę i małoletniego syna. Żal powszechny towarzyszył mu do grobu, bo znało go całe miasto i kraj cały a kochały dzieci, które długo korzystać będą z jego książek.

Słusznie też wyryto na jego pomniku wiersz następujący:

Czysty życiem, co go wiodło
Wśród burz świata i zamieci,
Chrystusowe przyjął godło,
Ojca wszystkich biednych dzieci.

Wieczne ognie w Baku.

Znanym jest powszechnie z codziennego użytku olej skalny, czyli nafta, służąca zarówno do oświetlania wykwinnych salonów, jak i ubogich izdebek zamieszkałych przez ludzi pracy.

Źródła oleju skalnego, znajdują się w różnych krajach Europy, jako to: w wielu miejscowościach Galicyi, gdzie nafta wydobywa się z pewnych szczelin w budowie Karpat istniejących i przenikając przez połamane lub pokruszone warstwy łupku ilowatego i piaskowca, ostatecznie na wierzeli się wydobywa, znajduje się też w Alzacyi i Tyrolu. Mnóstwo źródeł nafty posiada również Ameryka północna, gdzie ten płyn najpierw zastosowano do oświetlania, wskazując jego użyteczność europejskim mieszkańcom. Nigdzie jednakże nafta nie przedstawia się w tak wielkiej obfitości i tak głębokiego nie wywiera wrażenia, jak w miejscowości zwanej Baku, w kraju Zakaukaskim, po nad brzegami morza Kaspijskiego. Ziemia w całej owej okolicy jest tak przesycona znajdującą się wewnątrz naftą, iż wywiązujące się stąd gazy zapalne, wywołują częste wybuchy ogniste. Mieszkańcy oswojeni z podobnemi zjawiskami, umieją z nich korzystać dla przyrządzenia pokarmów. Odszukawszy miejsca, gdzie się nafta na wierzeli wydobywa, wkręcają w ziemię rurki żelazne i mają już gotowe ognisko.

Tu również znajdują się zwolennicy nauki Zoroastra, czyli tak zwani Gwebrowie, którzy upatrując w tym objawie siły ogniowej, działanie obecności bóstwa, oddają cześć takowemu, jako czciciele ognia. Mają też oni w pobliżu Baku swój własny klasztor; świątynię z wiecznie płonącemi ogniami, którego podajemy tu rycinę.

Same miasto Baku liczy przeszło 10,000 mieszkańców, jest jednym z najważniejszych punktów fortyfikacyjnych i handlowych w kraju zakaukaskim.

LOSY ADASIA.

przez

Zofię Klawerską.

(Dalszy ciąg).

O, było mu czego winszować! Najpiękniejszych lat zmarnowanych; nabytych wad lenistwa, kłamstwa, próżności! Było mu czego winszować! Łez matki wylewanych nad jego postępkami; siwizny, która z jego powodu przypruszyła głowę ojca.

Ale Adaś zaczerwienił się ze złości.

— Co komu do tego! — mruknął.

— O, tak, każdemu wolno zostać głupcem! — odparł spokojnie i pogardliwie pan Siewroński — w każdym razie podziękuj Bogu, że nie jesteś moim synem!

— Rzeczywiście, dziękuję za to Bogu! — odparł Adaś.

— I masz za co! Bo gdybyś był moim synem, tobym kazał zawołać fernali i parobków i kazałbym ci tu przed do-

mem sypnąć pięćdziesiąt batów! Jak Bóg w niebie tak bym to uczynił!

Adaś czerwony jak burak miał już odpowiedzieć niegrzecznie, ale pan Bodzicki wchodził właśnie do pokoju i Adaś spuściwszy głowę wyszedł jak zmyty.

Czuł się teraz bardzo nieszczęśliwy. Wszyscy patrzyli na niego jak na wilka a on był jak złapany, jakby to nie był dom jego rodzicielski, ale jakiś obcy przytułek, gdzie mu było źle, nieswojo i zimno. Nawet Tomasz, który nie chciał opuścić służby państwa Bodzickich, powiedział raz przy nim jakby do siebie:

— To widać z tej hadukacyi Adasia nic nie będzie! Niby pan bez hadukacyi, to nieprzymierzając myśliwy bez strzelby! Józio to już co innego. Na niego nie trza trąbić do lekcyi. Sam pamięta. Dobrze, że państwo choć tę pociechę mieć będą.

Marcin, już nie miał Jaśka przy sobie i brakowało mu tego wychowańca, którego lubił, choć Jasiiek często od niego obrywał. Ale trzeba było odprawić chłopca, sprzedać konie i Marcin woził teraz państwo Bodzickich parą, która dawniej pracowała w fornalce. Wszystko to sprawiło, że Marcin, dawniej taki wesoły i swobodny, począł teraz widzieć tylko czarną stronę każdej rzeczy. Nie mógł się zgodzić z tem, że choć jego ulubiony bohater Zagłoba, takie świetne w każdym wydarzeniu wymyślał fortele, on, Marcin, żadnego takiego fortelu wymyślić nie mógł, któryby, oddane mu do stajni fornalskie szkap, w piękne rumaki przemienił. A Marcin czuł, że szkoda go było jako furmana do takich szkap. Choć nie był furmanem z furmanów, ale przecie fornalskimi końmi powozić, to było nieładnie. Adaś zastał go raz w wozowni siedzącego na dyszlu bryczki i wpatrującego się w rozwieszzone na ścianie dawnych, rosłych koni chomonta, które teraz, pięknie wyczyszczone, wisały bez użytku.

— Cóż Marcin tak rozmyśla? — zapytał Adaś.

— Tyle mi wszystkiego zostało z dawnych czasów! — rzekł Marcin, wskazując na wiszącą uprząż. — Przez te chomonta toby przeciągnął całego takiego fornalskiego konia! A teraz mi na to przyszło, że ja takimi końmi powożę!

Marcin kiwał głową tragicznie i siedząc na dyszlu bryczki miał minę Mariusza, rozmyślającego na ruinach Kartaginy.

Po chwili jakaś myśl potrafiła umysł Marcina. Spojrzał na Adasia przenikliwie i odezwał się:

— A panicz podobno do łaciny nie tegi!

— Ah, cóż tam znowu Marcin z tą łaciną?

— Ee... to widać dobra rzecz, kiedy po łacinie to i Zagłoba zarywał i pan Skrzetuski i Wiśniowiecki i wojewoda Kisiel. Ja sobie zawsze myślałem, że panicz szczęśliwy, że się po łacinie nauczy, a tu pono panicz ani w ząb!

— A cóż to już wszyscy się sprzysięgli na to, że mi będą życie zatrwać! — zawołał Adaś i wyszedł z wozowni w najgorszym humorze.

Unikał teraz prawie wszystkich w domu. Przy stole siedział milczący i nadąsany, a posiliwszy się wychodził zaraz ze strzelbą. Pan Bodzicki nie posiadał już lasu, więc Adaś włóczył się po polach i raz spotkał jakiegoś wychudzonego psa z ogonem opuszczonym, ze wzrokiem w którym się malowała trwoga, pokora, uniżoność, rozpacz spowodowana głodem. Adaś wymierzył do niego, lecz nagle broń opuścił i rzekł sam do siebie:

— Ja teraz jestem podobny do takiego psa bez pana!

Nawet w postępowaniu Maryni odczuwał jakąś mimowolną pogardę dla siebie. Chciałby był jej uczynić obietnicę poprawy, ale czuł doskonale, że ona obietnicy tej nie uwierzy, więc i towarzystwa Maryni unikał.

Jadzia była, jak mu się zdawało, bez litości dla niego. Wiecznie mówiła o osłej ławie, o młodzieńcach wypędzonych ze szkół i utrzymywała, że jeden pan Siewroński, był człowiekiem umiejącym na oczekaniu rozdáwać urzędy. Wymyślił on już powołanie dla Adasia.

Przy tem oddawaniu sprawiedliwości panu Siewrońskiemu przez Jadzię, Józio umierał ze śmiechu.

— O tak! — wołał — pan Siewroński powiada, że to jedyny urząd dla Adasia!

Adaś rzucał rodzeństwu spojrzenie zjadliwe, zgrzytał czasem zębami ze złości, i uciekał jak najdalej od Jadzi i Józia.

— A to nieznośne bębny! — mruzczał z wściekłością.

Jadzia rzeczywiście była złośliwa i uprzykrzać się każdemu lubiąca. Pewnego razu uszyła osłą czapkę z bardzo dobrze naśladowanemi uszami oslemi i wiedząc, że Adaś ma sen niezmiernie twardy, posłała bardzo rano do jego pokoju i tę czapkę drobnemi ściegami przyszyła mu do włosów. Adaś nic nie słyszał, bo spał zwykle jak kamień.

Rano, Tomasz przyszedł go budzić gdyż Adaś był śpiochem takim, że byłby sypiał do dwunastej. Stary sługa zobaczył na głowie Adasia osłą czapkę, obudził Adasia, śmiejąc się bezzębnemi ustami.

— Czego się Tomasz śmieje? — zapytał Adaś przecierając oczy.

— Niech Adaś wyskoczy z łóżka i pójdzie do lustra, to Adaś zobaczy.

— Cóż tam znowu, wasy mi przez noc urosły, czy co?

— Nie wasy, ale osłe uszy! Ha, ha, ha! Może się to czasem zdarza takiemu, co o hadukacyi nie myśli!

I stary Tomasz śmiał się tak, że aż się trząsł cały.

Adaś wyskoczył z łóżka, dotknął głowy, potem pobiegł do lusterka stojącego na stole.

— Cóż to za żarty? — krzyknął. — Tomasz by się wstydził! Za takie żarty, to...

— To przecie nie ja zrobiłem — rzekł Tomasz — przychodzę tu budzić Adasia i widzę te osłe uszy.

— To już pewno Jadzia! — zawołał Adaś. — Muszę ja jej kiedy dać dobrą naukę.

Odrywał od włosów czapkę z trudnością, sprawiając sobie nieznośny ból i co chwila sykając.

Przy śniadaniu patrzył na Jadzię, jak bazyli szek, a gdy znalazł się sam na sam z nią, rzekł:

— Ty mię nie zaczepiaj Jadziu, bo tego pożałujesz!

— Ja cię wcale nie zaczepiam — odrzekła dziewczynka.

— Nie mów mi nic! Te osłe uszy to nie czyj pomysł, tylko twój.

— O, wielka rzecz! — odrzekła dziewczynka. — Cóż to dla ciebie znaczy? Przecie ty osłe uszy całe życie będziesz nosił! Wszyscy je będą widzieli na twojej głowie, wszyscy o nich będą mówili... może nie w oczy tobie, ale za oczy. Taka czapka, którą ja ci dla żartu do głowy przyszyję, to nie! Ta druga czapka, moralna, o której wieść się rozniosła i której ci ludzie nie zapomną, ta gorsza!

W parę tygodni po przybyciu Adasia do Wólki Słomieńskiej, pan Bodzicki zawołał go do swego pokoju.

— Nie przypuszczasz zapewne — rzekł do niego ostro i surowo — że zostaniesz tu w Wólce i będziesz się włóczył ze strzelbą po polach przez całe życie.

Adaś milczał z wzrokiem spuszczonego ku ziemi.

— Wiesz dobrze, że do szkół już pójść nie możesz. W kraju do żadnych by cię już nie przyjęli, na zagranicę niemam środków, a choćbym je miał, to ty nie dajesz żadnej gwarancyi poprawy. Ty już się nie poprawisz! Będziesz próżniakiem i kłamcą całe życie! Ale i próżniak i kłamca musi czemś na życie zarabiać, gdy niema majątku. Inaczej umarłby z głodu. Zatem namysł się i obierz sobie jakie rzemiosło. Musisz za dni kilka iść do terminu. Każde rzemiosło jest dobre, każde jest pożyteczne. Wybieraj więc. Czy chcesz być tokarzem, czy szewcem, czy kowalem, czy stolarzem, czy garbarzem?

Adaś milczał ciągle.

— A może ty wolisz być złodziejem? — zawołał pan Bodzicki z takim wyrazem rozpaczony w głosie, że Adaś zapłakał nagle i rzekł wśród łkania:

— Tatusz mnie ma za ostatniego... tatusz mię już nic nie lubi... tatusz myśli, że ja wyjdę na złodzieja!

— Wszystko już o tobie przypuszczam! No idź, idź, namyśl się, bo za dwa tygodnie od dziś musisz już być oddany do jakiego warsztatu.

Adaś wyszedł i znowu chodził po polach ze strzelbą, ale nie upatrywał już żadnej zwierzyny, tylko rozmyślał, rozmyślał bez końca. Nareszcie postanowił zostać dżokejem albo skoczkiem na linie. Czy aby ojciec przystanie na jedno albo na drugie.

Nie miał się kogo poradzić. Wiedział, że Marynia wyszła by go zarówno jak Jadzia. Spotkawszy Józia jadącego na Myni, która się ogromnie zestarzała i miała mnóstwo siwych włosów zapytał:

— Czy wolałbyś być dżokejem, czy skoczkiem na linie?

— Wolałbym być doktorem — odparł Józio.

podrzedne stanowisko. Co innego kapitan okrętu! Ale z majtką nie można się stać kapitanem okrętu, bo na kapitana trzeba przejść wyższą szkołę.

Znowu tedy Adaś wpadł w niepewność i troskę. Musiał wybrać sobie powołanie a do żadnego ochoty nie miał.

Na kilka dni przed terminem, w którym miał o postanowieniu swem zawiadomić ojca, wałęsał się znowu po polach i przechodził właśnie w poprzek drogę prowadzącą do Słomieńca, gdy na drodze tej spostrzegł jakąś furankę. Ciekawość, która była zawsze jedną z wad Adasia, sprawiła, że się zatrzymał. Kto to mógł jechać tą furą? Zdawało się, że jechał jakąś czarną postać, zatem nie włościanin to jechał,



Wieczne ognie w Baku.

— Ale ja mówię o takim... o takim chłopcu co... co szkół nie skończył.

— Tobym wolał być chłopcem okrętowym a potem majtkiem. Przynajmniej cobym się napodróżował, tobym się napodróżował.

Adasiowi wybór Józia utkwiał w głowie. Prawda, zostać majtkiem, to też niezła przyszłość. Zatem miał być albo dżokejem, albo skoczkiem w cyrku, albo chłopcem okrętowym.

Z początku powołania te wydawały mu się bardzo przyjemnymi, ale powoli począł jakoś tracić ochotę do wszystkich trzech. Być dżokejem, to się kilka razy do roku jeździ na wyścigach, a przez resztę czasu czesze się zgrzeblęm konie, musi się słuchać masztalera, który często musi się tak obchodzić z dżokejem, jak Marcin obchodził się z Jaśkiem. Być skoczkiem na linie, to bardzo niebezpieczne powołanie. Najłatwiej kark skrócić! A co to za męki, nim się człowiek tych wszystkich sztuk powyucza. Być majtkiem? To też

bowiem w okolicach Słomieńca lud ubierał się w szare kapoty.

Gdy się fura zbliżyła, Adaś wydał nagle okrzyk radości, radości niezmiernej. Jednocześnie z fury zeskoczył Mundzio Zorewicz i obaj młodzieńcy rzucili się sobie w objęcia.

Zaraz wszakże Adaś oblał się rumieńcem wstydu. Przypomniał sobie lekcye Julka, które zaniedbał przyrzekłszy sumiennie je odbywać.

— Ach, Mundziu! — zawołał — ja twego brata..

— Wiem — odparł Mundzio — nie miałeś wytrwałości... Nie miałeś jej w niczem Adasiu! Ale wiesz, byłem potem zadowolony, żeś te lekcye zupełnie zaniedbał, bo przynajmniej powiedzieć sobie mogę, że nie one to były powodem żeś nie dostał promocyi!

— Jaki ty jesteś dobry, Mundziu!

Adaś na nowo rzucił się w objęcia Mundzia. Przytem rozczulił się ogromnie, bo już od dawna przez nikogo serdecznie ucałowanym nie był i wszyscy odpowiadali mu półgęb-

W KAIRZE.

kiem, z miną niezadowoloną. Dobroć Mundzia rozrzewniała go naprawdę.

— Ty jesteś moim jedynym przyjacielem! — zawołał — Nie mam nikogo prócz ciebie!

Mundzio spojrział na niego zdziwiony.

— Ja wiem, że postąpiłem bardzo źle — mówił Adaś — i zasłużyłem na pogardę wszystkich... to też mnie już nikt

Młoda kobieta z koszem południowych owoców, którą przedstawia rycina nasza, nie przypomina w niczem towarzyszek swoich, znanych po wszystkich miastach europejskich pod nazwą przekupek. Przeciwnie jej postać pełna wdzięku,



W Kairze.

nie lubi, nikt nie kocha! Nawet służący naśmiewają się ze mnie! Ja jestem bardzo nieszczęśliwy! Marynia, która była zawsze taka dobra dla mnie, teraz patrzy na mnie z boleścią, w której przebija pogarda! Jadzia szydzi ze mnie! Nawet Józio... Ojciec patrzy na mnie tak, jak gdybym nie był jego synem, matka miewa czerwone oczy a ja wiem, że to ja jestem jej lez powodem! Pan Siewroński ma mnie za ostatniego lotra!

(d. n.)

zgrabne rączki i wyraz uprzejmości na twarzy, zdradzają szlachetniejsze pochodzenie. Bo też to wcale nie zwyczajna handlarka owoców, ale dziewczyna z wyższego stanu, która za jakieś niewielkie wykroczenie, została za pokutę skazaną na podobne zajęcie, przez pobożnego derwisza. Obnosi ona kosz z owocami po ulicach Kairu, ale nie przyjmuje za nie pieniędzy, poprzestając na zapłacie grzecznego podziękowania i uśmiechu ze strony przechodniów. Taki rodzaj pokutnic zdarza się dość często napotykać w Egipcie, a nawet w nierównie surowszych rozmiarach, czytamy bowiem w jednym z opisów odbytej tam podróży, że pewien surowy derwisz ze

zgromadzenia derwiszów wyjących, skazał jednego z bogatych mieszkańców Kairu, na pokutę własnoręcznego czerpania wody z Nilu i roznoszenia jej po ulicach dla wszystkich pragnących się ochłodzić.

Lew świętego Marka

(z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

— Zdobędą ją, wezmą do niewoli Pisaniego, i wtedy bitwa przegrana. Spieszmy im na pomoc — zawołał Franciszek.

— Jestem gotów, jeżeli mnie pan upoważnisz do tego.

— Ale upoważniam! Co znaczy strata „Bonita” w porównaniu z losami bitwy.

Przecięto linę i rozpięto żagle. Załoga chwyciła za broń, i ustawiła się na pokładzie.

Tymczasem obie galery genueńskie schwyciły hakami galerę Pisaniego, i tak się do niej zbliżyły, że żagle i liny trzech okrętów splątały się z sobą. Genueńczycy rzucili się na pokład, lecz tam spotkał ich sam admirał uzbrojony w potężny topór i pozostała przy życiu załoga.

Bitwa trwała w całej pełni, gdy „Bonito” nadpłynął wielkim pędem. Zbliżył się do jednej z nieprzyjacielskich galer i niebawem oba statki szczepiły się hakami. Ale tu walka była nierówna; nieprzygotowani do wojny i pozbawieni zbroi marynarze, padali gęsto trupem; zginął kapitan, któremu dzida przeszła szyję, a obok niego dwunastu najdzielniejszych majtków.

— Za mną! — krzyknął Franciszek, rzucając się z toporem w rękę na galerę genueńską.

Sypnęli za nim Matteo, Giuseppe i cała załoga. Na przodzie okrętu spotkali ich łucznicy, lecz niedługo stawiali opór, pokonani, cofnęli się w nieładzie. Franciszek i jego towarzysze pospiesznie uderzyli z tyłu na żołnierzy, wdzierających się na okręt Pisaniego. Napad był tak niespodziany, że zmieszani nim Genueńczycy zaczęli się cofać, Franciszek, korzystając z tej chwili, złączył się z admirałem, który się rozpaczliwie bronił u stóp wielkiego masztu, a teraz widząc swe siły wzmacnione, wydał wojenny okrzyk: „św. Marek!” i rzucił się w tłum. Ale Genueńczycy zagrani przykładem Fieschiego, choć się cofnęli na swoją galerę, jeszcze długo się bronili, szala zwycięstwa przechylała się to na jedną to na drugą stronę, wreszcie Pisani zebrał wszystkich swoich ludzi i uderzył na nieprzyjaciela. Genueńczycy choć liczebnie silniejsi, stracili ducha; wielu skryło się do wnętrza okrętu, inni rzucali broń. Widząc, że nie sprosta Wenecyanom, Fieschi oddał swój miecz i uznał się za więźnia Pisaniego.

Inne okręty pozbawione naczelnego dowództwa, poddały się także.

Admirał, gdy się wszystko uspokoiło, kazał się zbliżyć Franciszkowi, który walczył nieopodal i dziękował mu w serdecznych słowach za pomoc niesioną Rzeczypospolitej.

— Spadłeś jak z nieba, w chwili, gdyśmy wątpili o zwycięstwo. Jak się nazywasz młodzieńcze?

— Jestem Franciszek Hammond, wysłany tu jestem przez Wielką Radę, aby zaopatrzyć flotę w żywność. Kapitan statku został zabity oszczepem, i ja teraz dowodzę. A oto mój przyjaciel, Matteo Giustiniani, który razem ze mną odbywa podróż.

— Pamiętam, Matteo, że cię nieraz widywałem w domu twego ojca. Jak wrócę, to mu powiem, że syn jego dzielnie

się bił. A tymczasem do roboty, trzeba porozdzielać galery, bo inaczej morze je porozbija jedną o drugą.

Umieszczono więźniów na spodzie okrętu. następnie porozcinano reje i sznury i uwolnione statki kołysały się swobodnie w zatoce.

Wieczór już nadchodził, więc zwycięzka flota wenecka nie puściła się w dalszą drogę, lecz zarzuciła kotwicę w zatoce Antium. Oprócz dziesięciu statków Pisaniego, miała ona teraz i cztery genueńskie, które widząc, że nie zdołają umknąć, spuściły swą flagę.

Cała noc zeszła na opatrywaniu rannych i naprawianiu szkód w galerach. Admirał widząc, że Franciszek i tu nie dał się wyprzedzić, rzekł do niego:

— Dzielnie się sprawiałeś, młodzieńcze. Widać, żeś równie rozważny jak mężny; nie dla ciebie kupiectwo, wstęp do służby rządowej, a niebawem osiągniesz wysokie dostojęstwa.

Franciszek dziękował serdecznie admirałowi, ale odpowiedział, że propozycyi jego przyjąć nie może, gdyż jest życzeniem jego ojca i signora Polaniego, żeby się dalej kształcił w zawodzie kupieckim.

— Może masz słusność — rzekł admirał. — Wszystkie rządy są niewdzięczne, a przedewszystkiem Rzeczypospolita. Gdzie wszyscy rządzą, tam sprawiedliwości być nie może. I ja zapewne kiedyś poznam wewnątrz weneckiego więzienia.

A gdy mu Franciszek przekładał, że to być nie może, że każdy obywatel z dumą wymawia jego nazwisko, dodał:

— Tak, teraz się mną szczycą, ale niech przegram bitwę, dopiero się każdy będzie oburzał. Ot i tu, byliby mnie Genueńczycy pokonali, gdyby nie twoja pomoc. A nie zawsze będę miał ciebie pod ręką. Tymczasem idźmy spocząć, a jutro każę rozdzielić żywność między załogi.

Przez cały następny dzień wyładowywano „Bonita”. Więźniów umieszczono na jego pokładzie, a raczej pod pokładem i Franciszek dał rozkaz powrotu.

Jak tylko oznajmiono, że „Bonito” wpływa do portu, ruch wielki zrobił się w mieście, signor Polani niespokojny o losy floty Pisaniego, pospieszył na jego spotkanie.

— Co to się stało, Franciszku — zapytał, kiedy łódź się zatrzymała przy okręcie. — Cała jedna strona jest zniszczona, jak gdyby „Bonito” otarł się o skały.

— Nie o skały, panie, ale o genueńską galerę.

— Co ty mówisz? O genueńską galerę! — powtórzył kupiec, zatrzymując się na drabinie sznurowej, po której wchodził na pokład. Jakże to było? Ale mniejsza o „Bonita”. Jakie wieści przywozisz od floty?

— Ważne wieści. Admirał spotkał się z Fieschim pod Antium. Obie strony miały po dziesięć galer, gdyż Pisani zostawił pięć swoich w zatoce opodal, gdzie naprawiały szkody poczynione przez burzę. Bitwa trwała cały dzień, na mocno wzburzonym morzu. My odnieśliśmy zwycięstwo. Ujęto cztery galery genueńskie, Fieschiego i ośmiuset żołnierzy. Fieschi jest w mojej kajucie, a czterysta więźniów pod pokładem.

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu — powtarzał Polani. — My tu byliśmy bardzo niespokojni, gdyż oddawna nie mieliśmy wiadomości. W razie zaś, gdyby Pisani został pobity, nieby nie wstrzymało Genueńczyków. Przyszliby oblegać samą Wenecją. A gdzie kapitan?

— Zabity, on i dwudziestu siedmu marynarzy. Wiozę listy od admirała do Wielkiej Rady.

— Wsiądź do gondoli i jedź ze mną. Czy masz listy przy sobie?

— Tak, noszę je na piersi, w obawie aby nie zginęły.

— A teraz opowiedz mi jak to było — rzekł signor Polani, gdy obaj zajęli miejsca w gondoli. — Powiadasz, iż pięć galer Pisaniego nie brało udziału w bitwie?

— Nadpłynęły następnego dnia. Kiedy się Pisani dowiedział, że Flota Fieschiego stoi w zatoce pod Antium, pospieszył natychmiast bojąc się, że mu umknie. Siły mieli równe; z jednej i z drugiej strony po dziewięć galer. Fieschi wypłynął odważnie na jego spotkanie i pomimo burzliwego morza zawiązała się bitwa, która trwała cały dzień i skończy-

ła się naszym zwycięstwem. Zdobyliśmy cztery galery, jak to panu mówiłem, reszta umknęła. Widok był straszny, bo w każdej chwili zdawało się, że bałwany zgruchoczą jeden statek o drugi.

— Tak mówisz, jak gdybyś widział na własne oczy. Czy się połączyłeś z admirałem przed bitwą?

Franciszek opowiedział przebieg spotkania, usiłując jak najmniej mówić o sobie, z tego jednak co słyszał zrozumiał Polani, jak wielkie usługi oddał jego młody przyjaciel, rze- czypospolitej.

— Dzielnie się spisałeś! To była rzecz niebezpieczna, walczyć z galerą wojenną. Więc kapitan i dwudziestu siedmiu ludzi zabitych? Biedacy!

— Kapitan zginął od oszczepu, gdyśmy chwytały hakami galere genueńską. Reszta poległa w ręcznej walce.

— A mój krewny Matteo, gdzie jest, czy i on ranny? — zapytał signor Polani z niepokojem.

— Matteo zdrów, został na statku admirała, który go wezwał do siebie. A córki pana, jakże się mają?

— Dobrze, dziękuję ci, ale ich niema w Wenecyi. Przed trzema dniami odpłynęły do Korfu, i ja wkrótce za nimi podążę.

Tymczasem zbliżali się do Piazzetty, i Polani wołał do spotykanych przyjaciół, że ma wiadomości od Pisaniego, i że flota genueńska zwyciężona. Wieści powtarzane przez wszystkie usta, rozbiegła się po placu i zanim wysiedli, tłum zalegał wybrzeże.

Polani i Franciszek natychmiast udali się do doży, który zwołał Radę, gdyż inaczej nie mógł listów otwierać.

Niebawem zeszli się wszyscy i przystąpiono do czytania depeszy. Admirał w krótkości opisywał bitwę, gdyż miecz przenosił nad pióro. Donosił, że otrzymawszy wiadomość, iż Fieschi ze swoją flotą stoi w zatoce pod Antium, pospieszył naprzeciw niemu z dziewięciu okrętami, że bitwa miała miejsce w czasie burzy i w końcu dodał: Gdyby nie Franciszek Hammond, który został przysłany z żywnością na okręcie „Bonito”, nie wiem na czyją stronę przechyliłoby się zwycięstwo, gdyż dwie galery genueńskie opadły mój statek i już się nieprzyjaciel wdarł na pokład, gdy przybył Hammond z odsieczą. Jemu więc zawdzięczamy, że nie Fieschi, ale ja donoszę o zwycięstwie.

Smer zdziwienia przebiegł przez salę, kazano Franciszkowi opowiedzieć co widział, nie opuszczając żadnego szczegółu, a gdy skończył, doża dziękował mu za wielkie usługi oddane państwu.

Zarumieniony chłopak wymknął się niepostrzeżenie, skoro tylko Rada zaczęła roztrząsać, jak należy dalej postąpić.

Dla każdego majtka „Bonita” naznaczono po pięć dukatów nagrody za dzielne sprawowanie, wdowy i sieroty poległych miały być utrzymywane kosztem rządu. Długi czas wahali się Rady, czemuż można wynagrodzić Franciszka, w istocie decyzja była trudna, gdyż pieniędzy nie potrzebował, o zaszczyty się nie ubiegał, zresztą za młody był na nie. Wreszcie Polani się odezwał:

Jedyna rzecz, którąby cenili i którąby mu się w późniejszym życiu przydała, to honorowe obywatelstwo Wenecyi. Jest to zaszczyt niezwykle, niewielu cudzoziemców dostąpiło go dotychczas, ale ja innej nagrody nie widzę.

— Tak, jest to zaszczyt wielki, ale i zasługi jego są niezwykle. Za jego sprawą przegrana zamieniła się w zwycięstwo, on uratował Wenecję z wielkiego niebezpieczeństwa. Niech się wasza Miłość oddali, a my niebawem ogłosimy wy-nik narady.

XII.

W mocy Ruggiera.

Dopiero w godzinę potem przywołano Polaniego do sali radnej. Z gniewnych twarzy niektórych radców poznał, że dysputa była długa i gorąca i nie dziwił się temu, gdyż był pewien, że stronnicy Moceniga, nie zgodzą się od razu na jego projekt.

— Signor Polani, dziękujemy ci za dobrą myśl — przemówił doża — i postanowiliśmy większością głosów, że uznamy Franciszka Hammonda za honorowego obywatela Rzeczypospolitej, nie wymagając od niego przysięgi i zwolnienia z obywatelstwa angielskiego. Zaszczytu tego dostępowali tylko ludzie wysoko położeni, książęta krwi, niechże więc to będzie dowodem, że Wenecya ocenia jego zasługi i jest mu za nie wdzięczna. Jutro będzie ogłoszone nasze postanowienie.

Kupiec wyszedł uradowany, a nazajutrz rano herold otrąbił po mieście, że Messer Hammond ma prawo do wszelkich swobód, i że jego imię jest umieszczone na liście obywateli weneckich.

W mieście radość była niesłychana: jeżeli się dwóch ludzi spotkało, rozmowa po pierwszych powitaniach schodziła na sprawy publiczne, na zwycięstwo i na Franciszka. Tłumy otaczały pałac Polaniego, domagając się ujrzeć bohatera, a gdy się pokazał na balkonie, witano go oklaskami. Na drugi dzień, wieczorem Franciszek rzekł do Polaniego:

— Jeżeli pan jaki okręt wysła na morze, to proszę mi pozwolić odpłynąć. Ja tu już dłużej nie wytrzymam. Od rana, kiedy ogłoszono postanowienie Rady, nie mam chwili spokoju. Jeżeli tak dalej pójdzie, to doprawdy zacznę żałować, żem przyszedł z pomocą admirałowi.

Kupiec się uśmiechnął:

— Już nawpół przyrzekłem, że cię zaprowadzę wieczorem do Persanich. Ze wszystkich stron dobijają się o ciebie.

— Więc jeżeli pan niema gotowego statku, to najme sobie łódź rybacką i pojedę gdzie na dwa tygodnie. Do tego czasu pewnie się coś nowego wydarzy.

— Jeżeli tego koniecznie chcesz, to jedź jutro rano. Wyprawiam mały statek do Korfu z listami do agentów i do moich córek, statek jest lekki, zwinny i w czterdzieści ośm godzin będziesz na miejscu.

Franciszek z radością zgodził się i nazajutrz rano już go nie było w Wenecyi. Statek był niewielki, bez pomostu, tylko na przodzie i na tyle były kajuty dla kapitana i załogi. Załoga jego składała się z dwudziestu ludzi, którzy w razie przeciwnego wiatru posuwali go za pomocą szesnastu wiosł.

Na pół drogi spotkał ich okręt Polaniego wracający z Korfu. Kapitan podpłynął blisko i zapytał: Jakie wiadomości?

— Prawie żadnych. Genueńscy piraci uwijają się między wyspami, ale ja żadnego nie spotkałem. W Konstantynopolu cicho, cesarz już nie próbował odzyskać Tenedosu.

— Co słyhać na Korfu?

— Wczoraj, gdyśmy odpływali, wszedł do portu dziwny okręt. Niema żadnej flagi, ale z budowy sądząc, musi być maurytańskim

— Z Maurami jesteście w zgodzie i już dawno nie ośmielili się wpływać na nasze wody.

— Ja też tylko mówię com widział. Okręt musi być szybki, bo maszty ma wysokie i mnóstwo żagli. Zachowuje się bardzo tajemniczo, często znika i znów się ukazuje. Okręty których się spodziewano z Cypru nie nadeszły, z innych wysp także się spóźniają. Mieszkańcy sądzą, że to jest wina owej tajemniczej galery, i przezemnie posyłają listy do Sigrorii, z prośbą o przysłanie paru statków wojennych.

— To dziwne — zauważył Franciszek — ale nie mogę uwierzyć, żeby się Maurowie odważyli płynąć aż tak daleko.

— Może wiedząc o wojnie z Genuą, mają nadzieję, że im się uda rabować bezkarnie, gdyż wszystkie okręty rzeczypospolitej są zajęte.

— Być może, ale nie zatrzymuję pana dłużej. Powiedz signorowi Polaniewi, żeś nas spotkał, i że jutro rano mamy nadzieję dopłynąć do Korfu.

— Ja sądzę — dodał po chwili, zwracając się do kapitana — że to musi być okręt genueński, który zbudowano na sposób maurytański, żeby tem łatwiej podchodzić nam statki kupieckie.

Nazajutrz rano, Franciszek był jeszcze pogrążony w głębokim śnie, gdy wszedł do jego kajuty majtek i wezwał do kapitana. Już szarzało, na jaśniejszem tle nieba, zaczynały się rysować w czarnych liniach maszty, reje i sznurki okrętowe, okręty się nie ruszały, żagle były zwinięte.

— Patrz — rzekł kapitan, wskazując na południe; — warta je spostrzegła już przed kwadransem, co pan o nich myślisz?

Dwa okręty stały obok siebie o dwie mile od łodzi; jeden z nich, był to wielki okręt kupiecki, drugi, długa wązka galera, zbudowana inaczej niż weneckie i geneueńskie okręty.

— To pewnie jest galera z Korfu — rzekł kapitan — niepodobna się omylić. Kształtem przypomina okręty egipskie lub maurytańskie, i bezwątpienia pochodzi z Afryki.

— A ja znowu utrzymuję, że Maurowie nie odważyliby się zapłynąć na wody weneckie, i że to jest umyślnie tak zbudowana galera geneueńska.

— W każdym razie lepiej jest się oddalić — rzekł kapitan — a ponieważ wiatru wcale niema, każę wiosłować.

Po chwili zauważył.

— Jakos nie prędko wyładowują okręt, patrz, jak głęboko jest pogrążony w wodzie.

— Tak — rzekł Franciszek. — Mnie się nawet zdaje, że głębiej, niż kiedyś go dostrzegł wchodząc na pokład.

— O wiele głębiej — odparł jeden z majtków — bo z początku balustrada jego wznosiła się ponad balustradę galery, a teraz jest o dużo niżej.

— Patrzcie — zawołał kapitan — galera zwraca się w naszą stronę, dostrzegli nas i gonią. Zawieśmy widzieli. Do wiosła. Tu idzie o życie, o wolność!

Na okrzyk zdziwienia jednego z marynarzy, kapitan się odwrócił i ujrzał za sobą jedną tylko galere. Okręt kupiecki zatonął.

— Niech pan weźmie ster — rzekł do Franciszka — a wszyscy majtkowie do wiosła.

Przez kwadrans nikt nie przemówił. Słychać tylko było równomierny plusk wiosła. Pomimo całego natężenia przestrzeń między dwoma statkami się zmniejszała.

— Jacopo — rzekł Franciszek do starszego marynarza, któremu widocznie sił brakło — chodź na moje miejsce, a ja tymczasem będę wiosłował.

Po godzinnym pościgu galera była odległa zaledwie o ćwierć mili.

(d. c. n.)

Podróże korzenia w celu szukania wilgoci.

Wiemy już, że łodyga główna roślin ma zawsze kierunek prostopadły do ziemi, wręcz przeciwnie dzieje się z korzeniem głównym, można to sprawdzić bardzo łatwo na młodym korzonku, przebijającym łupinkę ziarenka, jeżeli umieścimy je w szklance wody w zupełnej ciemności. Badając przyczynę tak przeciwnych kierunków łodygi i korzenia, wy-

dać się może dziwnem, jeżeli tłumaczyć to będziemy działaniem ziemi. Prostsze zapewne byłoby dowodzenie: korzeń kieruje się z góry na dół, ponieważ w ziemi skupia się cała jego czynność, podczas gdy łodyga podnosi się zawsze ku górze, gdyż poszukuje powietrza i światła. W rzeczywistości jednak wyjaśnienie takie byłoby błędem, jak to zaraz przekona doświadczenie. Zasadziwszy jakiekolwiek ziarnko w zwykłym wazoniku napełnionym ziemią, przykrywszy drucianą siatką, aby się ziemia nie wysypała, odwróćmy wazonik i w tem położeniu zawieśmy. Po kilku dniach młode korzonki ukażą się przez oczka siatki i zaczną się zwieszać pod naczyńcem, to jest w pełni powietrza i światła, podczas gdy łodyga zachowując także zwykły swój kierunek, przeciwny kierunkowi powszechnego ciężenia, rozwija się w ziemi w zupełnej ciemności.

Czy światło, wywierające, jak to już wiemy, wpływ na łodygę działa także na korzeń?

Aby na to pytanie odpowiedzieć, pozwólmy pierwiej rozwinąć się korzeniowi w naczyniu napełnionem wodą i oświetlonym z jednej tylko strony. Sprawdzimy wtedy, że światło wywiera mniejszy wpływ na korzeń niż na łodygę, czego należało się spodziewać. Większość korzeni ucieka od światła, mała tylko liczba słabo zwraca się ku niemu. Główną przyczyną, wpływającą na kierunek korzenia, jest wilgoć. W ziemi korzenie zwracają się zawsze ku miejscom najwilgotniejszym, w których najlepiej się rozwijają. Można by powiedzieć, że jakby instynkt jakiś uwiadomiał je o obecności wody. To też korzystając z najmniejszych szczelin wiskają się i zawalają rury kanałów i dren, na spotkanie których, wędrowały niekiedy bardzo daleko. Gdy tylko zdołały przeniknąć je, rozgałęziają się tam nad miarę, tworząc zawady znane dobrze rolnikom, gdyż zagrażają im szkodą, jaką wyrządzić mogą przez zatrzymanie przepływu wody w rurach lub pęknięciem ich. Poznawszy wpływ wilgoci, możemy zmusić korzenie do podróży niemniej ciekawych jak podróże łodygi w poszukiwaniu światła.

Przygotujmy pudełko blaszane dość długie, nie zbyt głębokie. Wywieramy w dnie grubym gwoździem kilka otworów, napełnijmy trocinami drzewnymi, które zawsze muszą być wilgotne, i zasadźmy w nie kilka ziarenek fasoli. Zawieśmy pudełko trochę ukośnie. Ziaruko zacznie kiełkować, korzonek rozwinię się normalnie i wyjdzie z pudełka otworem zrobionym w dnie ale gdy koniec jego znajdzie się w powietrzu, zakrzywi się i drugim otworem wejdzie znów do pudełka, którego wilgoć lepiej przypada mu do smaku. Tu wydłuża się znajdując jednakową wilgotność wkoło siebie, wtedy działanie ziemi upomina się o swe prawa, korzonek przyjmuje znów kierunek zwykły, wychodzi przez inny otworek, aby niedługo powrócić jeszcze do wilgotnych trocin.

Doświadczenie to uda się zawsze, jeżeli tylko powietrze otaczające pudełko nie będzie zbyt suche, gdyż to może spowodować śmierć korzonka, nie należy również, aby było przesycone wilgocią, wtedy bowiem korzeń, mając dostateczną ilość wody, nie wróciłby do pudełka.

A. R.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: W stuletnią rocznicę urodzin St. Jachowicza (z portretem). — Wieczne ognie w Baku (z drzew.) — Losy Adasia p. Zofię Kowerską. — W Kairze (z drzew.) — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty). — Podróże korzenia w celu szukania wilgoci. — **Dodatek:** Nauczka Bula, wiersz p. E. L. (z drzew.) — Pogadanka z mamą p. An. Drz. — Niespodzianka, komedya. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. —

Dodatek książkowy: Orla skała powieść miss K. Yonge przekład T. O.

WIECZORY RODZINNE

NAUCZKA BULA



— A psik ztąd! — wola Kazio: — zuchwałe kocisko!
Jeśli ci mile życie, uchodź pókiś cały.
Widzisz, Bul taki duży, gdy podejdziesz blisko,
Gotów cię, nieboraku! poszarpać w kawaly!

Ale Bul nie tak straszny jakby się zdawało,
Nie myślał jakoś wcale o szarpaniu kota,
Tylko z miną potulną i wyrozumiałą,
Patrzył jak się zbliżała bezbronna istota.

Potem spojrzął na Kazia machnąwszy ogonem,
Jakby niesłuszny domysł pragnął mu wybaczyć
I warknął tylko cichym i łagodnym tonem,
Co się na język ludzki mogło wytłómaczyć:

— Nie słusznieś mię posądził — wiedz, że mojem
[zdaniem:

W okrucieństwie się zawsze nikczemność ukrywa;
Ktośam dobry, ten wszystkich sądzi z pobłażaniem
A im kto jest silniejszym, tem wspanialszym bywa.

E. L.

POGADANKA Z MAMĄ.

Bocian.

— Patrz-no Stasiu, co narysowałam — mówiła Stef-
cia do starszego braciszka.

— A widzę, jakiś mały ptaszek. Przyznać jednak
trzeba, że nie bardzo zgrabny.

— To koliber, o którym mi mamusia opowiadała.

— Poczekaj, ja ci narysuję dużego ptaka, bociana.

— Bociana? Mój Stasiu, może potrafiśz opowie-
dzieć mi coś o nim.

— Naturalnie, że potrafię — odparł Staś z pewną
siebie miną. — Otóż widzisz, bocian to taki duży ptak...

— Już wiem, że duży — przerwała Stefcia — ale co
dalej?

— Dalej? kiedy ja doprawdy nie wiem, coby ci tu
o nim więcej opowiedzieć — mówił Staś z zakłopotaniem.

— Pocóżes z taką pewnością utrzymywał, że potra-

fisz opowiedzieć? — odezwała się mama, która szyjąc coś
w tymże pokoju, przysłuchiwała się rozmowie dzieci.

Staś zaczerwienił się.

— Kiedy ja, doprawdy, mamusiu, wiedziałem, ale
zapomniałem — rzekł zawstydzony.

— Trzeba było wpieryw przypomnieć sobie, coś wie-
dział. Przechwałki źle świadczą o każdym.

— Moja mamusiu złota, nie łaj już Stasia — zawo-
łała Stefcia, całując mamę w rękę. — On się na pewno
poprawi. Opowiedz nam lepiej sama co o bocianie.

— Chętnie, moje dziecko — odparła mama: — Po
bagnach i łąkach naszych często spostrzedz można w le-
cie bociany, spacerujące sobie poważnie, szukając poży-
wienia. Od czasu do czasu klekoczą radośnie i poruszają
z szumem skrzydłami. Nieraz też, szczególnie w jasny
dzień słoneczny, krążą wysoko w powietrzu, jakby się
cieszyły piękną pogodą.

— Dlaczego mamusia mówi, że w lecie widzieć mo-

zna bociany? — zapytała uważna Stefcia. — Czy w zimie nie można ich spotkać?

— Nie, córeczko, bociany na zimę odlatują na południe, do ciepłych krajów. Mają one rozumnych przewodników, którzy ich podróżą kierują; są to zwykle stare, a więc doświadczone bociany. Przed odlotem bociany zbierają się w naznaczonym miejscu, gdzie je przewodniczący opatrują, jeżeli bowiem który okaże się słabym, niezdolnym do przebycia dalekiej podróży, odpędzają go albo na śmierć zadziobią.

— Ach, jakie to okrutne ptaki! — zawołały oburzone dzieci.

— Rzeczywiście, zabijanie słabego jest czynem okrutnym, ale pewnie bociany sądzą, że biedaczek bądź co bądź zginie w podróży. Z nastaniem wiosny, mniej więcej w połowie kwietnia, bociany wracają do nas i zaraz odwiedzają swe stare gniazda, niekiedy używane przez kilkanaście lat. Ponieważ gniazdo przez zimę zniszczyło się trochę, więc samiec i samica poprawiają je skrzętnie: przynoszą gałązki, wtykają kawałki płótna, sukna, garść siana i t. d. W ogóle bociany starają się nie o to, żeby gniazdo było ładne i zgrabne, ale żeby było mocne i trwałe.

— Ja, mamusiu, przypominam sobie — przerwał Staś — że bociany po wsiach są bardzo szanowane, i że wieśniacy zakładają dla nich gniazda na strzechach swych chat.

— Tak jest, w istocie, myślą oni, że łaska Boża jest nad tym domem, na strzesze którego gnieździ się bocian. Ale to przesąd. Jeśli kto jest próżniakiem i nieuczciwym; Bóg się nim opiekować nie będzie, choćby i sto gniazd bocianich założył.

— Wszak prawda, mateczko, że bociany żywią się żabami — zagadnął znów Staś.

— Tak, ale nietylko żabami. W swych wycieczkach bocian zjada, co tylko spotka: żaby, węże, jaszczurki, owady, myszy, szczury, ptaszki małe. Nieraz też polknie małego zajączka, lub korzystając ze sposobności, schwyta kaczę albo gęsę.

— Teraz, mateczko, będę doskonale pamiętał wszystko o bocianie — zawołał Staś, całując matkę w rękę. — Chodź Stefciu, narysuję ci bociana z takim długim dziobem.

— Ale w dziobie będzie trzymał żabkę, dobrze? — mówiła Stefcia, siadając na krzeselku przy stole i i przyglądając się z uwagą rysunkowi braciszka.

An. Drz.

NIESPODZIANKA.

KOMEDYJKA.

(Dokończenie).

Julek (wyłazi na czworakach z pod stołu, czerwony, z portarganą czupryną). Aha, doskonale! to dopiero zobaczycie! (mówi z oburzeniem do publiczności). A to jęczyczki! słyszeliście państwo, co one tu o mnie nagadały? Ja mam być

ciekawym! ja! co nigdy nawet nie słucham, co wkoło mnie mówią, co się nigdy nie zajmuję cudzemi sprawami, ale to nigdy, zaręczam! A co gorsza powiedziały jeszcze, że jestem tehorzem, to już krzycząca niesprawiedliwość. Skąd one mogą nawet mieć wyobrażenie o mojej odwadze, kiedy mnie nigdy nie widziały w prawdziwym niebezpieczeństwie? żeby się tak trafiła jaka wojna, albo co, tobym im dopiero pokazał! No, to prawda, że nie bardzo lubię, gdy ciemno w pokoju, ale to przecież nie z tehorstwa, tylko... (zaczyna się) ot tak... bo w ciemności można sobie guza nabić i wreszcie... cóż to przyjemnego nic nie widzieć dokoła? (po chwili). No, ale rai przynajmniej przyznały, że jestem sprytny, zgrabny, i że mam mężki rozum! To już musiały uznać. Otóż z pomocą tego rozumu wypłatał im teraz dobrego figla: pójdę do komórki, wezmę pudełko i schowam je gdzieindziej, niech szukają choćby przez dzień cały, a ja tymczasem jutro pierwszy je otworzę! (postępuje parę kroków ku bocznym drzwiom i zatrzymuje się, mówiąc z namysłem): Ciekawym, czy też tam teraz bardzo ciemno? może i nie, bo przecież słońce świeci... Ale prawda, tam podobno niema żadnego okna, tak kiedyś Ańdzia mówiła... ja tam nie chodzę, bo i na co mi? Ale dzisiaj pójść muszę, muszę zobaczyć to pudełko i przenieść je gdzieindziej (patrzy na drzwi). Żeby tylko te drzwi nieznośne nie zatrasnęły się przypadkiem tak same z siebie... bo to nie byłoby bardzo przyjemnie siedzieć tam, póki kto nie otworzy! No, ale znów niespodzianka wujaszka warta fatygi, raz! dwa! trzy! tylko śmiało! Jestem przecież odważnym mężczyzną! (biegnie ku drzwiom, otwiera je ostrożnie i zagląda do środka, nareszcie decyduje się przestąpić próg. Po chwili wypadła z komórki niosąc w obu rękach pudełko). Jest, jest! a to mi się udało! ale żeby kto wiedział jak tam czarno, brrr! Ale to pudełko ciężkie! co w niem być może? niedobry ten wujcio, że nam z otwarciem kazał czekać aż do jutra rana, ja wprawdzie nie jestem wcale ciekawy, ale zawsze przyjemniej wiedzieć (po chwili). A żeby tak spróbować przynajmniej, czy jutro potrafię je otworzyć? ten papier z wierzchu naturalnie bardzo łatwo zdjąć, ale tam we środku musi być jakiś sztuczny zameczek (po namyśle). A no spróbuję! tylko troszeczkę zajrzę co tam jest, a potem znowu zamknę (rozwija ostrożnie papier). A to co? zwykle kartonowe pudełko! czemuż wujcio napisał, że je tak trudno otworzyć (zacziera ręce z niecierpliwością). Oj, co tam jest we środku? jak mamę kocham, nie wytrzymam do jutra! choć odrobinkę zajrzę (zdejmuje wieko i rozchyła drobne cięte papierki które widać od wierzchu, mówi z radością). Coś cudnego, czerwonego, oj! nie darmo wujcio pisał, że nam śliczną rzecz daruje! (zagłębia rękę w papierki i wyciąga sporą, czerwoną książkę, z wyrazem zawodu). A to co! jakaś książka, podobniusia do mojego niemieckiego słownika... (ogląda ją bliżej) nie! przecież to mój własny słownik, co to ma znaczyć, nie pojmuję... Ale to przecież nie wszystko, tam jest coś więcej, dużo więcej! (wyciąga kolejno książki szkolne i ze wzrastającym zdumieniem i niecierpliwością rzuca je na ziemię). Wypisy polskie, geografia, niemieckie, rachunki! nie to coś okropnego, moje własne książki szkolne!... śliczny mi prezent od wujcia! skąd mu taki niemiły figiel przyszedł do głowy? Wartoż po to było wchodzić do ciemnej komórki? Czy tam już nic więcej niema, doprawdy? (szuka w pudełku i dobywa list). Jest, jest list!... może jeszcze

w liście)... (otwiera go z pośpiechem i czyta): **Prima aprilis!!** i to napisane ręką Basi!

Ańdzia i Basia (wpadają śmiejąc się i klaszcząc w ręce): Prima aprilis! prima a prilis!

Julek (z gniewem). A, to wy macie takie niemądre koncepta? to ładnie! nie spodziewałem się po was czegoś podobnego!

Ańdzia (z uśmiechem). Czego się nie spodziewałeś? Że ci spakujemy książki do pudełka? przecież im się nic złego nie stało, a walały się rozrzucone po wszystkich kątach.

Julek. Co tam książki, ale jak mnie można było narażać na taki zawód! ja się już tak na tę „śliczną rzecz” od wujcia cieszyłem.

Basia (z niewinną miną). Ale skąd ty się o pudełku dowiedziałeś? my ci przecież nic nie mówiłyśmy.

Julek (zmieszany). No tak, ale... ja się domyśliłem.

Ańdzia (śmiejąc się). Aha, domyśliłeś się, ot tu pod stołem!...

Julek (zawstydzony). Przepraszam... ja nie podsłuchiwałem... ja tylko tak... zresztą nie było wcale czego słuchać!

Basia (wesoło). To pewnie, zwłaszcza też tobie, bo my umyślnie mówiłyśmy o tobie same takie rzeczy, które nie bardzo ci były miłe usłyszeć, a to dla tego, żeby ci już na drugi raz nie przyszła ochota podsłuchiwać.

Julek (obrażony). To bardzo nieładnie z waszej strony tak mnie podejść!

Ańdzia. Gdybyś nie był taki ciekawy, nie byłoby się nam udało (*bierze go za rękę*). No, Julku, tak zawsze mówisz o swoim męzkim rozumie, pokaż więc, że go masz doprawdy i nie gniewaj się za takiego niewinnego figła.

Julek (z wahaniem). A nie będziecie się już śmiać ze mnie?

Basia. Nie, nie! nigdy nawet o tem naszym prima-aprilis nie wspomnimy.

Julek (wesoło). No, to pokażę, że doprawdy jestem męzczyzną, bo nie tylko, że się nie obrażę, ale dotrzymam słowa, i poprawię się!

Ańdzia i Basia (razem). Brawo! to będzie dla nas wszystkich najlepszym „prima-aprilis”.

(Zastona spada).

Mali Robinsonowie w skalach nadmorskich.

przeiżyła **M. B.**

(Dalszy ciąg).

— Co będziemy dzisiaj robili?

— Jeżeli chcesz, otworzymy baryłkę.

— A szkaradna, to przez nią chorowałem wczoraj! I spostrzegłszy, że stoi w kącie, podszedł:

— Masz za to! — zawołał, uderzając ją nogą, lecz w tejże chwili odezwał mu się w krzyżu ból wczorajszy; oj! oj! moje plecy, znów bolia.

— Nie bój się kotku, przejdzie zaraz, ale dla czego tak się gniewasz? to nie ładnie.

— Bo niecierpię tej baryłki, którą musiałem dzwigać!...

— No, ale przyznaj przecie, że ci pomagała..

— O tak, tak, ty zawsze jesteś dobrą siostrzyczką.

— Czy ból już przeszedł?

— Już go wcale nie czuję.

— To teraz otworzę baryłkę?

— Tylko uważaj dobrze, może tam coś złego w niej siedzi!... ale mówiąc to śmiał się już figlarnie.

Melcia, rondel z zupą postawiła na ogniu, a tymczasem wzięła się do otwarcia baryłki, po chwili denko podniesione nożem odskoczyło...

— Ach mój Boże! gdyby to było... i nachyliła się bliżej, tak, to masło! — zawołała uradowana.

— Masło! — wykrzyknął niemniej uradowany Iwonek. — Jak to już dawno masła nie jedliśmy! Nasmaruj mi niem suhar i włoż go trochę do zupy... Kto nam przysłał ten podarunek, siostrzyczko?

— Bóg, mój Iwonku, to też dziękujemy Mu co najprędzej za wszystkie łaski i dowody opieki, któremi nas otacza!

I oboje ukłękli do pacierza, który z większą niż kiedykolwiek odmówili pobożnością.

Jakże im smakowała zupa przyprawiona masłem! Melcia musiała w końcu nie dać jej więcej Iwonkowi, który chciał jej sobie ciągle dolewać.

Od czasu gdy znaleźli schronienie w grocie, Melcia nie traciła czasu na próżno. Aby nie zanieczyszczać wody służącej do picia, wykopała małe zagłębienie w pośrodku rowka, którym przelewająca się woda z basenu, ściekała i ginęła w otworze skały. W tem to zagłębieniu zmywała swoje naczynia kuchenne, rondelki i dwie łyżki... Teraz, gdy w worku wyrzuconym przez morze, znalazła i mydło, postanowiła wyprać ubranie, które zostało wiele do życzenia!

— Nie pierz dzisiaj, siostrzyczko! — prosił Iwonek — chodź na dziedziniec, będziemy się bawili w konie, weź tylko z sobą sznurek od worka.

Melcia zanadto się czuła szczęśliwą, widząc Iwonka, zdrowym i wesołym, by móż odmówić mu czegoś.

Zaczęła się więc w najlepsze zabawa.

— Ty będziesz koniem — zdecydował Iwonek.

Melcia poczęła biedz małym truchcikiem.

— Ależ Melciu, prędzej, pogalopuj trochę! — zawołał Iwonek. — Ach, jaka szkoda, że nie mam bata! Byłoby daleko zabawniej!

— Dziękuję ci za to, sam twój głos popędza mnie dostatecznie...

I starsza siostrzyczka puściła się takim galopem, że malec nie mógł jej nadążyć i był zmuszonym prosić aby się zatrzymała. Stanęli, śmiejąc się wesoło. Wtem drgnęli przestraszeni wystrzałem, który nagle dał się słyszeć w drugiej strony skały, pod nogi upadła im postrzelona mewa... Iwonek krzyknął, ale Melcia zasłoniła mu ręką usta.

— Cicho bądź! cicho! — rzekła.

I znów drugi wystrzał, skierowany ku mewom, które opuszczając wierzchołek skały ulatywały nad morze.

— Byle nie usłyszano naszego śmiechu — rzekła Melcia półgłosem... Zarazby się domyślili, że jesteśmy

w środku skały, a gdyby to był ktoś z wioski, wszelkim sposobem postarałby się o znalezienie wejścia. To mnie tylko pociesza, że ani rybak, ani żaden mieszkaniec tujszy nie straci naboju, strzelając do mew, które na nie nie są przydatne.

— Albo to prawda? Dla nas po tych ciągłych rybach, byłoby to zawsze odmianą! A że już biedna ptaszyna nie żyje, ugotujmy ją na obiad. Jestem pewien, że mi będzie smakowała.

— Spróbujemy! ale czas już iść na górę, woda przybiera. Muszę się też zabrać do roboty.

— Do jakiej znowu? Ty bo musisz ciągle coś robić!...

— Trzeba koniecznie uprać nasze ubranie. Bo pomyśl tylko, gdybyśmy tak musieli opuścić to schronienie niezadługo i puścić się w drogę, do ciotki Genowefy, to cóżbyśmy włożyli? Wziętoby nas za żebraków.

(c. d. n.)

METAGRAM.

Przez *K* jestem ogromną i głęboką rzeką.
Przez *t* wstrzymuję wody gdzie nie wporę cieką.
Przez *r* różne przedmioty okalam ujęciem.
Przez *l* jestem w dalekich krainach zwierzęciem.
Przez *l* też jestem materyą na kosztowne stroje.
Potem całe znaczenie odgadnicie moje.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Salamandry dla Terkotki i Wesołej Figlarki.

Z następujących sylab: A—al—ba—błąg—dos—el—el—e—ger—gorz—grin—i—ir—ka—la—la—ma—mo—na—nia—ny—o—po—ro—skra—su—wald—wę—wca—wro—tan—te—tna—ty—tra—ze—ułożyć wyrazy których początkowe litery złożyć powinny tytuł powieści drukującej się w „Wieczorach”.

Znaczenie wyrazów: 1) Kraina na krańcach Europy. 2) Wulkan w Europie. 3) Ptak z rzędu drapieżnych. 4) Wyspa Sundzka. 5) Ryba rzeczna. 6) Częsteczką zarząca się lub płonąca. 7) Rzeka w Niemczech. 8) Olbrzym w mitologii. 9) Miasto w Prusach. 10) Miasto w Prusach pamiętne z r. 1410. 11) Zwierzę z rzędu przeżuwiających. 12) Dopływ Renu. 13) Miasto w Grecyi. 14) Wyspa na morzu Śródziemnem. 15) Miasto w Egipcie. 16) Miasto w północnej Afryce.

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

dla Lwa z nad Nilu.

Następujące liczby: 3, 3, 3, 3, 4, 4, 4, 4, 5, 5, 6, 6, 6, 6, 7, 7, 7, 7, 8, 8, 8, 9, 10, 10, rozmieścić w kwadracie o 20-stu kratkach, aby w kierunkach poziomych, pionowych i obu skośnych tworzyły 30.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 14-go

Zagadki: Powietrze.

Łamigłównki w kwadracie:

a	k	r	a
o	m	a	r
k	r	u	k
o	g	a	r

Niteczki Aryadny:

... Pomnę ja te dni anielskie, pomnę ja te ranki
Gdy mi matka przynosiła woskowe baranki,
Pomnę ja te miejskie targi, założone tasy...

Skrzynka do listów.

Dziel o jakie zapytuje *Tygrys* bengalski, niema wcale.

Redakcja z przyjemnością odbiera tak porządnie napisane liściki, jak *Zosi C.*, życzenie jej spełni też chętnie.

Listu z rozwiązaniem zagadki, o którym M. M. wspomina, nie odebraliśmy, dla tego też nie było żadnej odpowiedzi. Nadesłane teraz rozwiązanie rebusu i łamigłównki, są dobre. A możeby kochana korespondentka, wybrawszy sobie jaki pseudonym, próbowała w wolnych chwilach sama układać podobne łamigłównki, nie zrażając się oczywiście tem, jeżeli nie zawsze okażą się zdadne do druku; bo jak w każdej rzeczy tak i tu potrzeba wprawy.

Cieszy nas, że *Zosia L.* tak bardzo polubiła nasze Pismo, iż uważa je za najmiłszy podarek tegorocznej gwiazdki. Witamy ją w gronie naszych korespondentek, zapewniając, że miłe nam będą zawsze jej liściki, choćby nawet z mniej udaną kaligrafią. Gdy się ma lat lat 9 i wiele dobrych chęci, to i pismo w krótkim czasie się wyrobi. Początek „Orlej skały” odbierze *Zosia* niezawodnie.

Z przyjemnością otrzymaliśmy pierwszy liścik od *Krakowianka* i mamy nadzieję, że odtąd stałym naszym pozostanie korespondentem. Być może, iż nadesłane łamigłównki drukowane będą; kiedy jednak przyjdzie na nie kolej, dziś oznaczyć niepodobna.

Józio B. słusznie zrobił, gdy zamiast się nudzić zabrał się do układania łamigłówek. Niechże jednak *Józio* będzie cierpliwym, jeżeliby te pierwsze próby drukowane jeszcze być nie mogły, a pracuje dalej wytrwale, gdyż zawsze jest pożytecznie odpędzać nudy umysłowem zajęciem.

Szczygiełkowi jako i innym czytelnikom, którzy o to proszą, Redakcja chętnie i bez żadnej dopłaty wysyła początek powieści „Orla skała”. Jako zajmującą książeczkę do czytania, o którą *Szczygiełek* zapytuje, polecić możemy: „Przygody i opowiadania Misyonarza w Sudanie egipskim”, opracował *Kazimierz Król.* (z ryc.) kart. rs. 1 kop. 10

Dobre rozwiązania szarad i zagadek z Nr. 12, 14 i 15 nadesłali: *Zula, Stanisław J., Bronisławu i Czesław B., Świerczek, i Juljusz W.* od którego również otrzymaliśmy szaradę.

Liczne rebusiki i łamigłównki, jakie nam *Ułan z T.* nadesłał, dowodzą jak zamiłowanym i wytrzymałym jest w tego rodzaju zajęciu co pozwala nam przypuszczać, że cenne te przymioty zdobną go również w spełnianiu obowiązków. Żądane numera pisma wysłane zostały.

Zapewne *Leon S.* otrzymał już nagrodę, która jak z jego listu widzimy, tak bardzo go ucieszyła.